

Któregoś dnia, wypuściwszy się na dłuższy spacer, Potreszcz krążył po parku, po sennych i cichych uliczkach, które dopiero budziły się po nocy, zawędrował nawet w odległe strony, gdzie znajdował się piękny ogród botaniczny, miejsce częstych jego pielgrzymek.

Kochał woń kwiatów, perfum i wszelkich mocnych zapachów, pod warunkiem, że były miłe i przyjemnie egzotyczne.

Wdychał je z najwyższą lubością i delectował się długo i namiętnie, jakby przeżywając jakąś cudowną podróż do innego świata, gdzie powietrze ma odmienny, bajeczny skład.

W ogrodzie było jeszcze pusto – nikt nie spacerował alejkami, nikt nie siedział na ławkach.

Na trawie błyszcząca rosa, zaś w drzewach nieśmiało zaczynały śpiewać pierwsze, poranne ptaki, obudzone ciepłym, czerwcowym słońcem.

Potreszcz szedł powoli i sycił się przepięknym widokiem. Dawno tu nie był – nie miał jakoś ostatnio na nic czasu... Życie gnało naprzód, zmuszając do dotrzymywania mu kroku, który z biegiem lat stawał się coraz szybszy i szybszy.

Teraz był sam w ogrodzie i wokoło pachniały drzewa, krzewy i kwiaty, przyprawiając go o rozkoszny zawrót głowy i czarowne oszołomienie – krótką chwilę magicznego wyciszenia...

Odpowiadał im zachwytem i wdychał głęboko.

- Nie do wiary, że na świecie jest tyle cudów natury... - rzekł do siebie wzruszony. – Tyle przedziwnych, czarujących kwiatów i każdy posiada oryginalny, odmienny zapach. To cud, który nie mógł być dziełem człowieka i jego myśli.

Odurzony morzem precudnych woni, usiadł na ławce i zamyślił się.

Przez moment nie skupiał swej uwagi na niczym konkretnym, kontemplując byt.

Zamknął oczy i wyobraził sobie ogromną łąkę, pełną bajecznego kwiecia i perfum, co się z niego wydobywały i unosiły na lekkiej bryzie wokoło, pieszcząc spragnione nozdrza...

Siedział tak i cieszył się przepychem ogrodowych wonności.

Była sobota, pora leniwego błogostanu.

Potem wstał i rozejrzał się dookoła.

Nieśpiesznie ruszył do domu, co chwila przystając i wciągając łapczywie rajskie aromaty.

- Ach, żeby tak móc je zabrać ze sobą... - westchnął oszołomiony, patrząc rzewnie na kobierzec puszystej murawy, gęstej i niskiej, tchnącej wonią jaskrów, stokrotek, fiołków i niepowtarzalnych asfodeli, co ponoć rosły w podziemnej krainie umarłych nad rzeką Styks...

Droga do furtki wejściowej zajęła mu całą wieczność.

Nie chciał tak bezdusznie i nijako pozostawiać tego piękna za sobą – było to dlań nieprzytomnie trudne i bolesne. Bolesne, bo ubolewał nad tym, iż w swym małym mieszkaniu mógł, co najwyżej hodować drobne rośliny doniczkowe i dwie niewielkie palmy.

A potrzebował kwiatów jak powietrza do życia.

Odkąd żona go opuściła dla młodszego i bogatszego, żył samotnie w swym królestwie roślin i dość szybko nawiązał z nimi kontakt bliższy niż kiedykolwiek wiązał go z wiarołomną małżonką, której nie odpowiadały jego pasje, upodobania i mało ekspansywna postawa życiowa.

Nie mogła być z nim szczęśliwa – był przecież tylko zwykłym, szarym urzędnikiem.

Łysiał i zaczynał rosnać mu poważny brzuch.

Miał takie przyziemne zainteresowania i jakże nudną osobowość.  
Więdlą przy nim jak niepodlewany kwiat, co potrzebował ręki konesera, a nie prostego ogrodnika bez wyobraźni.  
W końcu rozwiodła się ze swym nieciekawym mężem i zniknęła z jego życia jak zły sen...  
I jak zły sen została potraktowana – szybko o niej zapomniał.  
Po jakimś czasie było to jak wspomnienie z dzieciństwa, kiedy budowało się zamki z piasku w piaskownicy na podwórku, sądząc, że się nie rozsypią.  
Stał się skończonym sceptykiem, nie przywiązując już żadnej wagi do niczego poza pracą, którą lubił, oddając jej chętnie większość swego życia i przebogatym światem roślin i kwiatów, ich nieziemskich woni i zapachów, co stały się jego miłością i obsesją.  
Na parapecie stały w rzędzie doniczki z kwiatami. Były tam jukki, hortensje, begonie, obok nich bujnie prezentowały się małe drzewka cytrynowe, storczyki i skrzydłokwiaty, na podłodze, wzdłuż ścian stały dumnie gardenie, kaktusy i piękne wilkomlecze, kryjąc się jakby w cieniu wysokich palm, które sięgały już prawie sufitu, strzeliste i wyniosłe.  
Cała ta roślinność oddychała spokojnym, nienarzucającym się czułym ciepłem.  
Znał swoje niezwykle cuda każde z osobna, każde bowiem z czymś mu się kojarzyło.  
Były jego radością, jego najmiłszym towarzystwem.  
Niektóre cieszyły oko swym niezwykłym wyglądem i zapachem, inne nie wydzielały żadnych woni, rekompensując to przepyszny bogactwem kolorowych kwiatów – cudów natury.

Ten świat żył.  
Był milczącym niebem i małym rajem.  
Ukojeniem i balsamem.

W jego małym, dwupokojowym mieszkaniu, jeden z pokoi był domem roślin...  
Stał tam tylko fotel i mały stolik.  
Wokół panowała atmosfera jak w oranżerii, w której rozbrzmiewał wszędzie cichy szept kwiatów i drzewek, co przyglądały się swemu panu z zachwytem i wdzięcznością za tak szczęśliwy żywot, gdzie w harmonii tego niezwykłego „ogrodu” odnaleźć można było harmonię ducha, patrząc bez końca na przepych bajecznych i fantastycznych kolorów.  
Tam był wolny i tam był naprawdę sobą.  
Kochał je jakby były ludźmi, pełnymi uczuć i empatii.  
Spędzał w fotelu, kiedy wracał z pracy, długie godziny, ciesząc oczy feerią barw.  
Zapominał wnet o zmęczeniu i tym wszystkim, wokół czego jeszcze niedawno obracało się całe jego zainteresowanie, kiedy to przez cały dzień ślęczał w biurze nad znanymi na pamięć zagadnieniami.  
Gdy przestępował próg swego mieszkania, wkraczał do innego, bliskiego sercu świata.  
Witały go wnet stęsknione łodygi roślin, oczekujące jego powrotu przecudne kwiaty.  
Dotykał ich wówczas delikatnie i pytał, jak spędziły dzień – czy nic się nie wydarzyło, nic nie zaskoczyło? Odpowiadała cisza zaklęta w spokój. Lekkie drżenie drobnych listków, co darzyły go niewidzialnym uśmiechem.  
On czuł, że im dobrze. Czuł to jak czuje się zimno lub ciepło, dobre lub złe fluidy.  
Znał ich dusze. Nie miały przed nim tajemnic. I on nie miał ich przed nimi.  
Gdy źle się czuł, był zdenerwowany lub nachodziły go duszne, depresyjne myśli, liście niektórych roślin opadały smętnie, skręcając się w jakieś dziwne spirale, bywało że często gwałtownie żółkły i schły w ciągu kilku godzin.  
Przepiękne kwiaty kurczyły się wtenczas boleśnie, jakby pod wpływem doznawanego bólu.  
Coś przenikało do ich wnętrza z atmosfery, coś zatruwało ich zdrową roślinność.

To już tyle lat razem – można się siebie nauczyć, wzajemnie poznać.  
Przedziwna osmoza. Niezwykle współistnienie jakże odmiennych organizmów.  
Wszystko wszak żyje i jest częścią przyrody – i człowiek, i roślina.  
Tylko owo życie inaczej wygląda i ma inną formę, lecz jest faktem niezbitym i niepodważalnym.  
Dlatego też Potrzeszcz lubił rozmawiać ze swymi kwiatami i drzewkami, wierząc w duchu, że mu w ci-  
szy po swojemu odpowiadają.  
Znał ich myśli i odczucia – może nikogo nigdy tak dobrze nie poznał?  
Może na nikogo nie postawiłby nawet zaśnieżonego miedziaka.  
Na nie liczył i wiedział, że się nie zawiedzie – było to idealne porozumienie dusz.  
Bo we wszechświecie wszystko ma duszę – i drzewa, i zwierzęta, i nawet przedmioty martwe z pozoru,  
lecz jakoby nie do końca.  
Stare domy, w których straszy.  
Stare, opuszczone parki, po których snują się cienie zakochanych sprzed wieków.  
Stare obrazy, z których pod osłoną nocy spogląda badawczo czyjeś namalowane oko.  
Dusza jest we wszystkim i wszystko ją posiada.  
Dusza jest...  
Czyż nie mawia się: „pozostawić gdzieś cząstkę swej duszy?”  
To, co minęło, co było tu lub ówdzie przed laty, żyje nadal swym nowym, utajonym życiem, niewidzial-  
nym dla człowieka i nienamacalnym – trwać będzie w przestrzeni po kres czasu.  
Cały świat to zbiorowisko tego, co było, jest i będzie, choć jeszcze nie zaistniało w oku przypadkowego  
widza, który ma poczucie czasu działającego wstecz i w teraźniejszości, otaczającej go zewsząd niczym  
las pełen drzew, spoza których niewiele widać.  
- A one? Ileż mych myśli i nastrojów pozostało w ich łodygach, liściach i kwiatach? Przecież nie  
jesteśmy sobie obojętni – my mieszkańcy tego samego domu, tego samego świata...  
Te energie, te fale, które krążą bez końca w eterze, czyż nie mają i na nas wpływu?  
A ludzkie przeżycia? Przepadają wraz z ich ustaniem? Nie włączają się dalej w przestrzeni jako echa daw-  
nych czasów, co odcisnęły swoje piętno na tym wszystkim, co widzimy wokoło?  
Jeśli były naprawdę silne i płonęły w swoim czasie ogniem niezwykłym, czy potem ogień ów bezpowrot-  
nie gaśnie i tylko siwy dym unosi się w powietrzu na krótką chwilę?  
To nie może tak być – nie może i pewnie nie jest. To, co widzimy, to nie wszystko.  
Skoro rośliny czują, skoro i one wiedzą to i owo. Obserwują po cichu i analizują. Cieszą się i cierpią  
razem z człowiekiem.  
Nic nie ginie w przestrzeni – zmienia jedynie formę i trwa dalej pod inną postacią.  
Tego nie można ignorować – to trzeba pojąć i przyjąć do wiadomości.  
Świat to gra w szachy, gdzie figurą może być każdy, gdzie czasem figur w ogóle nie widać.  
I noc nagle staje się dniem, co jeszcze przed chwilą był bladym brzasku rozbłyskiem.  
Potrzeszcz z lubością gładził liście kwiatów i drzewek, wąchał precudne zapachy, myślał.  
Nie każda roślina pachnie, nie każda istnieje w ten sposób.  
Co za szkoda.  
Czemu jedne wydzielają tak niepowtarzalne wonie, podczas gdy inne cieszą oko jedynie bajecznym wy-  
glądem i niespotykaną gracją?  
Czyż istnieje coś piękniejszego niż zapach kwiatów? I perfum z nich wyrabianych?  
To raj, który można mieć w pokoju.  
Wąchać go w nieskończoność i z zamkniętymi oczami być daleko w innym świecie.  
Bodaj przez chwilę zatracić się w oceanie wonności.  
Lecz czy to wszystko?  
Przecież nie można poznać wszystkich zapachów tego świata w ciągu jednego życia!

To niewykonalne i jakże okrutnie pociągające.

Te nieznane jeszcze aromaty, nieznane dotąd, bo poza zasięgiem i w marzeniu nawet nie zaistniałe, będą jednak kusić i szeptać w nieskończoność: „odkryj mnie, odkryj mnie...”

Czyż to nie wyzwanie, nie zapowiedź nowej pasji, co ze starej wykwitnie z nagłą?

Czyż to nie zaproszenie do rozkosznych poszukiwań?

Zwłaszcza dla pasjonata? Dla kogoś, komu najbliższy był raj zapachów i nieziemskich woni?

To sprawa przesądzona, jasna i bezsporna. Miłość ma wiele imion. Jaśmin, wanilia, konwalia? A może cedr, fiołek lub lawenda? A może imię tu zbędne?

2

Brat spojrział na niego i rzekł:

- To miłość twego życia?

- Przecież wiesz – odparł Potrzeszcz.

- Największa i jedyna?

- Ty pytasz, czy Kocham... Tak, Kocham. Kocham je wszystkie.

- A one? Nie zastanawiałeś się, że to nic innego, jak zwykłe rośliny? Nie przypisuj im ludzkich cech – to zakrawa na myślenie magiczne. Na twoje własne, osobiste projekcje...

- Żeby wiedzieć, co one czują, musiałbyś żyć w ich świecie – odpowiedział Potrzeszcz.

- Nie zrozumiem tego. Masz jeszcze tyle życia przed sobą. Nie spędzaj go w domu, wachając kwiaty i rozmawiając z nimi.

- Mam też pracę.

- Nie masz nikogo bliskiego. Nikogo poza rodziną, która też ma już swoje nowe rodziny, synów, wnuków, jakichś szwagrów i tym podobnych. A kobiety? Już cię nie interesują? Nie myślisz o nich jak kiedyś, za starych czasów? Na to nigdy nie jest za późno.

- Jedno małżeństwo mi wystarczy. Czyż nie jestem nieciekawym, bezbarwnym nudziarzem?

Nie trzeba mi kolejnych zawodów. Wyciągnąłem właściwe wnioski.

Brat popatrzył zatroskany na niego i odpowiedział:

- Widzisz wszystko w czarnych kolorach, ty wielbiciel kolorów. Nie musisz. Czasem trzeba popchnąć swe przeznaczenie, swe szczęście. Wtedy to zadziała. Myśląc źle, ściągasz to do siebie, a po co? Wystarczy rozejrzeć się i uwierzyć w życie – ono nie jest puszką Pandory.

- Może...

- Uwierz mi – wszystko się może zdarzyć, jeśli coś w tym kierunku zrobisz. Ale spróbuj, spróbuj skończyć z tą samotnością. Kwiaty ci nie uciekną, możesz je pogodzić z resztą.

- Pomyślę.

- Na pewno?

- Pomyślę.

Gdy brat opuścił już jego mieszkanie, wyraźnie mu ulżyło. Nie potrzebował niczyich rad. Nie miał dwudziestu lat i mleka pod nosem. Drażniło go to i wyzwalało przedziwny upór. Nagle wszyscy mu radzili jakby przed chwilą stracił rozum lub, co gorsza, nigdy go nie posiadał.

To tylko życie osobiste. Czy każdy musi mieć je udane? Może szczęście na tym polu nie wiąże się wcale z posiadaniem żony i dzieci? Iluż żyje wokoło ludzi, którzy są sami i nie czują się bynajmniej samotni lub odrzuceni. To kwestia świadomego wyboru – może właśnie to odpowiadało mu najbardziej?

Nie minęło kilka dni, kiedy w progu jego domu pojawiła się siostra. Powód wizyty był ten sam. Wyglądała na zatroskaną i patrzyła dziwnym wzrokiem kogoś, kto za chwilę będzie uważnie i precyzyjnie dobierał słowa, aby oddały dokładnie istotę rzeczy. Jej mina, skądinąd dość niewyraźna, wróżyła po-

ważną rozmowę.

Kobiety są czasem jak pokrzywy. Choć podobno to zioło lecznicze.

- I co ty sądzisz o tych zmianach? – gdy to powiedziała niepotrzebnie zrobiła potężny wytrzeszcz, co dało złudzenie, iż jej oczy są nieco za duże w stosunku do reszty twarzy.

- Jakich zmianach?

- Ostatnich zmianach.

- Jakich ostatnich?

- Mówię tu o twoim położeniu...

- Ach, o nim...

- Nie możesz tak żyć. Uciekają ci lata. Jesteś coraz starszy. Każdy kolejny dzień to jutro już przeszłość. Myślisz o tym w ten sposób? O podróży w jedną stronę, bez szans na powrót?

Za jakiś czas będziesz potrzebował kogoś przy sobie, gdy nadejdzie starość. Z kim wtedy porozmawiasz, z kim pójdiesz na spacer, z kim wypijesz poranną kawę, z roślinami?

Co one ci wtenczas dadzą? Pomyśl o tym i wyobraź sobie siebie za dwadzieścia lat. Twoje kwiaty już dawno zwiędną, kupisz nowe, te też zwiędną, kupisz kolejne i wszystko powtórzy się od nowa. To iluzja i fikcja, to nie jest prawdziwe życie. Ono jest tam, gdzie rosną kwiaty w twoim sercu, bo kogoś kochasz, i ten ktoś jest ci wszystkim, i jemu także dajesz szansę na spełnienie, na wypełnienie czasu tym, do czego stworzony jest każdy człowiek. On też będzie miał w sercu kwiaty, a w głowie jasne, pogodne myśli. Ale otwórz się na niego, spróbuj.

Bez miłości nie ma nic.

- Nie ma... - powtórzył bezwiednie Potrzeszcz.

- Zrób coś z tym. Wszyscy się o ciebie martwimy. To nie może dłużej trwać.

- Nie może... - westchnął.

- Weź się w garść. Życie ucieka i żaden dzień już się nigdy nie powtórzy.

- Żaden dzień... - odrzekł.

- Twój upór mnie przeraża. I ta bierność. To straszne!

- To straszne.

- Nie kpij sobie ze mnie. Przyszłam do ciebie, bo się gryzę tym, co się z tobą dzieje. Nie możesz tego pojąć? To z boku nie wygląda najlepiej. Z boku to wygląda bardzo źle.

Spojrzeli na siebie w sposób dość beztreściowy i przez jakiś czas nie padło żadne słowo.

Wszystko zostało już powiedziane.

Pozostała cisza bez odpowiedzi, podobna do tych, jakie się spotyka na polach czy łąkach...

- Może nie trzeba wcale spoglądać z boku? – palnął nagle jak z pistoletu na kapiszony.

- Pójdę już – rzekła siostra – a ty przemyśl to sobie. Wiesz, jak dobrze ci życzę. Tak nie można, tak już dłużej nie można.

- Dziękuję, że przyszłaś. Pozdrów męża.

- Wolalabym odwiedzać cię w innych okolicznościach...

- Wierzę ci – słowa te wypowiedziane mocno na wyrost, nie zabrzmiały zbyt szczerze.

- Postaraj się, zrób to dla siebie – rzekła stanowczo patrząc mu w oczy.

- Tak... - stęknął coś niewyraźnie.

- Dla siebie. To twoje życie. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia – odparł i zamknął za nią drzwi.

Co za ulga – pomyślał uspokojony.

Co za radość, że już jej tu nie ma! – odetchnął głęboko.

Co za dużo, to nie zdrowo... - poczuł miłe rozluźnienie.

Wyjrząwszy przez okno upewnił się, że siostra ostatecznie udała się w kierunku swego domu.

Już na pewno nie wróci. Może za kilka dni. Pewnie tak, za kilka dni znów zacznie od nowa.

Wtedy sięgnął do szuflady.

Miał tam coś.

Miał tam coś od jakiegoś czasu, odkąd postanowił, że jego pasja nabierze nowego, nieznanego wymiaru – nowego zgoła kolorytu.

Nie wszystkie kwiaty z jego „ogrodu” pachniały, a on uwielbiał rajskie wonności.

Potrzebował coraz to nowych podniet.

Pragnął zgłębiać ten świat, co równych sobie nie miał.

Coraz silniej odczuwał potrzebę wąchania.

W małych, plastikowych torebkach przechowywał suszone płatki oryginalnych, egzotycznych roślin, które różnymi sposobami udało mu się nabyć w ciągu pół roku. Były też kawałki kory i jakiś dziwnych łodyg. Niekiedy tylko kawałek liścia lub korzenia. Kraje ich pochodzenia mogły przyprawić o zawrót głowy – nagle w ten sposób stał się obywatelem świata zapachów! A świat był to niezwykły i kuszący bajeczną różnorodnością cudownych woni...

W szufladzie spoczęły mirt, tuberoza, kardamon, irys, bergamota, hiacynt, magnolia, odrobina drzewa sandałowego i wiele innych, na które wydawał bez opamiętania grube pieniądze, aby je tylko mieć i co jakiś czas z głębokim namaszczeniem i powagą powąchać.

Najlepszą porą był wieczór.

Pora magicznych wlotów i rozkosznych uwypukleń.

Siadywał wtedy w swym fotelu i delektował się niepowtarzalnymi zapachami, wyobrażając sobie, że jest w dalekim, egzotycznym kraju, gdzieś nad brzegiem błękitnego oceanu, i wsłuchany w szum fal, wdycha przesycone bogactwem kwiatów i fantazyjnie pięknych drzew wonie, o jakich nie śniło się zwykłym śmiertelnikom, zamieszkującym zadymione miasta.

Bywał tam często. Wystarczyło zamknąć oczy. Ta podróż trwała sekundę. Już tam był.

W dalekiej, przepięknej krainie...

W pracy nic się nie zmieniło, z wyjątkiem faktu, iż nieoczekiwanie po wielu latach stagnacji otrzymał awans i znaczną podwyżkę jako wyróżnienie za sumienne i rzetelne wykonywanie swych zawodowych obowiązków.

W końcu się na nim poznano – lepiej późno niż wcale. Kto by pomyślał. Nigdy nie rzucał się w oczy, nigdy nie pchał na pierwszy plan. Skromny, spokojny, wyciszony.

Nie miał wrogów, nie miał też przyjaciół. Był typem małowównego myśliciela, który nie mówi nawet drobnej części tego, co w duchu myśli. Ani on nie odbijał się w myślach świata, ani świat nie wpływał w najmniejszym stopniu na jego decyzje i działania.

Człowiek samowystarczalny.

Dla niektórych niegroźny dziwak, dla innych poważny, stonowany kolega, dla jeszcze innych ktoś budzący niezrozumiałą sympatię wynikającą bezpośrednio z braku zrozumienia tego tajemniczego, zagadkowego indywidualisty, który nieprzenikniony i zamknięty w sobie mógł na swój dziwny sposób intrygować i budzić pewne osobliwie przewrotne zainteresowanie jak każde niewytłumaczalne i trudne do zdefiniowania zjawisko.

Praca pracą, dom domem, zapachy miłością.

One już czekały, wzywały go do siebie, kusiły.

Jakże chętnie i ochoczo pędził do swego mieszkania, żeby jak najszybciej zamknąć za sobą drzwi, dzielące go od tego, co szare i pospolite, by wreszcie usiąść w swym ukochanym fotelu i oddychać magią fantastycznego „ogrodu” i z najwyższą ekstazą wąchać cuda, perełki, rarytasy, drzemiące w spokojnym oczekiwaniu cały dzień w szufladzie.

Były tam i myśl o tym napępiała go szczęściem.

Należały tylko do niego...

Wystarczyło je wyjąć i zaciągnąć się odrobiną nieba...

Wsadzić palec do którejś z plastikowych torebek i rozetrzeć to, co na nim w dwóch palcach i powąchać. Nie mogło być w tym przesady. Dwa zapachy podczas jednego wieczora zupełnie wystarczały. Niedosyt czyni cuda.

Wokół pachniały przecież, poustawiane na parapecie kwiaty i stojące wzdłuż ścian na podłodze małe drzewka i średniej wielkości rośliny.

Było czym oddychać. Mała perfumeria.

Znał wszystkie jak starych, dobrych, sprawdzonych przyjaciół. Niektóre miały nawet imiona. Uznał to za rzecz oczywistą i w stosunku do tak bliskich sobie stworzeń – w pełni uzasadnioną wzajemnym ich związkiem, intymnym i intensywnym.

Piękne kwiaty nazwał imionami żeńskimi, takimi jak Belinda, Elizabeth czy Dolores, inne, mniej urodziwe o zdecydowanie męskiej naturze – John, Pedro czy Napoleon.

Nie było mowy o anonimowości, nie wśród najbliższych.

Jakby to wyglądało, gdyby zwracał się do nich: „Kaktusie drogi, miła ma trukwo egipska czy też ty stary, poczciwy cyklamenie perski...”

To nie wchodziło w grę – byłoby zaprzeczeniem ich naturalnej bliskości i zażyłości, co kształtowała się przez lata wspólnego życia pod jednym, rodzinnym dachem.

To zobowiązuje do szacunku i taktownego zachowania.

Przyjaźń nie przychodzi łatwo. W dzisiejszych czasach to anachronizm. Jak wyświechtany frazes.

- Wiem, co myślicie – powiedział pewnego wieczora do mieszkańców swego bajecznego „ogrodu” – wiem to dobrze... Czuję wasze myśli w powietrzu i w waszych zapachach, co są może wyrazem waszego oddychania lub posiadania zdania na ten lub inny temat. A może to przejaw procesów myślowych, co nieustannie zachodzą w waszych komórkach i tkankach?

Bez was nie istniałyby inne, wyższe formy życia na ziemi. Dwutlenek węgla stałby się śmiertelną, powszechną trucizną. Ekosystem przestałby istnieć. Zjadamy was, byście istniały w nas wiecznie, zjedzone z powrotem do życia, zasilając sobą naszą biomasę. Zawdzięczamy wam bezcenny tlen, papier, włókno, leki, paliwa, olejki eteryczne i czyste powietrze, nie mówiąc już o tłumieniu hałasu. Czyż to nie cud? Czyż wy wszystkie nie jesteście nim? Dzięki wam rozumiem właściwości życia... Rozumiem, czym jest piękno i jak zbudowany jest cały jego system. To dzięki wam, moi najbliżsi. Może to my jesteśmy tylko dodatkiem do was, a nie na odwrót? Wiem, co sobie tam dumacie. Myślicie sobie teraz, że ten Potrzezszc to całkiem miły gość, nasz dobrodziej jedyny i przyjaciel na dobre i złe.

I dobrze myślicie, bo tak jest i zawsze będzie.

Ale czasem tak sobie marzę, tak chodzi mi po głowie pewne szalone pragnienie, by poczuć jeszcze więcej i poznać wszystkie te nieziemskie wonie, których jeszcze nie zaznały me nozdrza... Tak sobie marzę, czasami... Wciąż mi jakoś mało. Ciągłe ten niedosyt... Mam tego głód – głód porządnego wąchania. Potrzebę, co dręczy mnie ostatnimi czasy... Wraca i wraca... Jutro też to poczuję – wiem to i wiem także, że poczuję to mocniej niż dzisiaj.

Jakoś tak mnie naszło, jakoś tak... Żeby tak poczuć mocniej. Naprawdę mocno aż w nosie zawierci i o kichnięcie niejednokrotnie przyprawi. A może mój węch się nieco stępił? Przyzwyczał i doszło do tzw. tolerancji, co wymaga natychmiastowego przewyciężenia silniejszym, wyrazistszym pachnięciem, pachnięciem nowym i ostrym? Nie byłaby to miła perspektywa, oj nie byłaby.

I myślał o tym w owym czasie, siedząc wygodnie w swej oranżerii.

Wieczorami, gdy za oknem padał deszcz.

Cichy, szumiący, bezzapachowy.

Wracając z pracy zaszedł pewnego dnia do nowo otwartej drogerii, gdzie już przy wejściu uderzył go duszny i ciężki, ale jakże przyjemny i pożądany zapach perfum i innych wonnych atrakcji. Niespiesznie rozglądał się po półkach jakby w poszukiwaniu czegoś wyjątkowego, choć nie zamierzał kupować sobie niczego – przynajmniej na początku tak sądził.

Godzinę wcześniej nawet nie wiedział, że tu wejdzie. Jednak wszedł zwabiony niezwykłym bukietem aromatów. Patrzył z zaciekawieniem, co rzuciło się wnet w oczy właścicielce.

Uśmiechnęła się miło i zapytała:

- Czym mogę panu służyć? Może jakąś egzotyczną wodę po goleniu?

- Nie stosuję – odparł Potrzeszcz głosem oficjalnym i odzwierciedlającym jego pogardę dla tak lichych i niskopiennych woni jak jakieś rozcieńczane wodą, perfumy, produkowane w bezdusznym fabrykach przez ludzi, którzy drżącymi rękoma sprawdzają najnowsze raporty o tym, czy konkurencja dobrze sobie radzi, czy też wypuściła na rynek zapach – knota, co okazał się totalną klapą, a więc szansą na rychłą porażkę rywala w walce o klienta i jego zacny nos...

- Może wodę kolońską?

- Wyglądam na kogoś, kto używa tego paskudztwa?! – obruszył się nagle marną propozycją.

- Panowie chwałę. Ciągłe muszę zamawiać, tak szybko się sprzedaje.

- No to niech się dalej tak sprzedaje. Ja nie potrzebuję. Mam w domu to, co trzeba... Rozumie pani – to, co trzeba... - rzekłszy to spojrzął na nią znacząco i poruszył brwiami.

- Ach tak.

- Trochę znam się na zapachach, proszę pani, może nawet bardziej niż trochę.

- Znawca? – zapytała.

- Pełną gębą, że się tak wyrażę. Jestem koneserem piękna – piękna aromatów naturalnych. Nie uznaję sztuczności. To wbrew moim zasadom. Wbrew moim wrodzonym upodobaniom.

Gardzę tzw. perfumami. Prawdę mówiąc nieco lękam się tych płynów. To wytwór chemików, co niekiedy wywołuje na skórze podejrzane zaczerwienienia i coś w rodzaju pokrzywki... Unikam tego jako człowiek lubiący się we wszystkim, co naturalne i pochodzące bezpośrednio od genialnej natury... Tylko do niej mam pełne zaufanie.

- W takim razie może kadzidełka?

- Kadzidełka? A co to?

- Takie patyczki do zapalania. Choć nie prowadzę sklepu ezoterycznego, coś niecoś wiem na ich temat – rzekła głosem kogoś, kto zapewne rzeczywiście wie to i owo.

- Chętnie posłucham. I jeśli to produkt naturalny, być może nabędę – odparł Potrzeszcz.

- To zapachy pochodzące z roślin dalekowschodnich jak drzewo sandałowe, mirra czy kwiat róży chińskiej, posiadające właściwości magiczne i leczniczo - profilaktyczne, jeśli można to tak nazwać.

- Brzmi ciekawie...

- Taki amber oczyszcza pomieszczenie ze złej energii, anyżek gwiazdzisty odpędza moce nieczyste, a taki choćby aloes przyciąga do zapalającego go miłość, harmonię i wzmaga duchowe wibracje.

- Wibracje, mówi pani...

- Do pobudzenia sił psychicznych stanowczo polecałabym, bo widzę, że pan trochę chyba przemęczony i zapracowany, na przykład, akację, piołun czy kwiat muszkatołowy. Dodać można również paczulę, paproć i rutę. Efekt murowany! Obudzi pan w sobie nowe pokłady energii i wzmocni pozytywnie siłę swego biopola. O biopole trzeba dbać jak o zęby czy włosy. Nigdy nic nie wiadomo. Czasem dobrze zapalić sobie odrobinę wawrzynu, to ponoć sprzyja wizjom proroczym i wywołuje spontaniczne przypadki jasnowidzenia... Każdy chciałby poznać przyszłość, nieprawdaż? No i tatarak! Koniecznie! Absolutnie! Przywołuje dobre duchy i ściąga z atmosfery pozytywne fluidy. Zawsze do snu warto zapalić sobie nieco cynamonu – sen przyjdzie, nawet się pan nie obejrzy!

- Co za niezwykła wiedza! Chyba spróbuję - rzekł dość niepewnie Potrzeszcz. – Może to rzeczywiście



coś warte? I najważniejsze, że pewnie pięknie pachnie.

Kobieta spojrzała na niego chmurnie i rzekła kąśliwie:

- Niedowiarek?

- Praktyk.

- Nie wierzy mi pan?

- Muszę to sprawdzić. Może jeszcze do pani wrócę i opowiem jak mi poszło.

- Niech pan zaczeka – to powiedziawszy poszła na zaplecze i po chwili wróciła ze sporym pudłem, wypełnionym kolorowymi opakowaniami.

- Oto one! – powiedziała, podsuwając je zaintrygowanemu Potrzeszczowi.

- No, no, no! Arcyciekawe, co by nie mówić...

- Jeśli pan się zdecyduje, podam panu specjalny przepis na każdy dzień – rzekła tajemniczo.

- Pani mnie zaskakuje! Na każdy dzień?

- Na każdy, bo co innego powinno być zapalane w sobotę, a co innego w poniedziałek... Żadnego zga-  
dywania w ciemno i wybierania na chybił trafił!

Wtedy popatrzył na nią i zdecydowanym głosem oznajmił:

- Biorę! Lubię nowe wyzwania zapachowe! Ale, zaraz, chwileczkę – one na pewno pięknie pachną? Mo-  
gę pani wierzyć na słowo? Bo bez tego to ja.

- Poczuj się pan jak w niebie. Tylko tam są takie cudowne wonności. Niech pan się o to nie martwi.  
Wiem, co mówię. Nie od wczoraj palę je w domu.

- A więc pani też?

- A co pan myślał! Oczywiście! Nie mogę już bez nich żyć! Świeże powietrze jest takie nudne - westch-  
nęła nieco zblazowanym głosem.

- Przekonała mnie pani. A co do powietrza, w pełni podzielam ten pogląd.

- Oto lista – dni tygodnia i jak je używać. Sam pan widzi – rzekła podtykając mu z przejęciem pod nos  
kartkę z opisem stosowania kadzidełek. – Środa – lawenda, jaśmin, groszek pachnący, a w niedzielę ma-  
my już, co innego – cytryna i boswellia. To naprawdę ważne. To ich własna logika, ich własne prawa.  
Wśród roślin i ziół nie ma chaosu i przypadkowości.

Ten świat zaskakuje i budzi podziw. A więc pakujemy?

Niedługo potem Potrzeszcz zapalił pierwsze kadzidełko w swym mieszkaniu i zasiadł wygodnie w fotelu,  
by poczuć magię, o której opowiadała mu kobieta ze sklepu...

I poczuł ją natychmiast. Silny, duszący aromat rozszedł się szybko po całym domu.

- Tego mi było potrzeba, tego właśnie. Co za siła i intensywność, teraz dopiero czuję, że coś czuję! Tak  
pewnie pachną kwiaty w raj. Mam go teraz pod własnym dachem.

Od tamtej pory palił dużo i często – przed wyjściem do pracy i po powrocie z niej.

Stał się zapalonym wielbicielem nowej przyjemności.

Jego przyzwyczajony do piękna nos wyczuwał wszelkie subtelności, każdą, najmniejszą, ulotną nutę za-  
pachową, co drgała w przestrzeni rozkosznie i zmysłowo.

Delektował się tym bez końca.

Nie przeszkadzał mu szary dym, unoszący się ciężko pod sufitem, nie przeszkadzało coraz częstsze sz-  
czypanie oczu i kłopoty z gardłem, co przelykało z trudem, drażnione boskimi dymami.

Czasem kręciło się w głowie i zbierało na mdłości, lecz takie były koszta obcowania z przedziwnym, ma-  
gicznym światem orientalnych kadzidełek.

Nigdy nie wietrzył mieszkania.

To byłoby marnotrawstwem.

Chciał, żeby niebiański aromat wszedł w ściany, sufit i podłogę i pozostał tam na zawsze.

Rzecz dziwna.

Jego roślinom to wcale nie szkodziło, jakby i one polubiły nową pasję swego opiekuna.

Wokół nich snuł się godzinami leniwie błękitno-szary dymek, oplątując liście i kwiaty swą wonią, przyjaźnie muskając je cichym, niezwykłym dotykiem.

Miała rację kobieta ze sklepu – odkrywając ten świat, można się w nim zatracić.

Przestrzeń gwarzyła ulotnym pięknem. Dźwiękiem wonności. Kadzidelkami.

- Wiem, co myślicie – powiedział kiedyś do swych kwiatów i drzewek – wiem to dobrze.

Niedługo skończą się nam zapasy. Trzeba będzie wybrać się na solidne, porządne zakupy.

Chcemy przecież znów sobie zapalić, prawda? Bardzo chcemy.

Rośliny zdawały się przytakiwać i cieszyć na samą myśl, szepcząc bezgłośnie: „Tak koniecznie musisz kupić nowe cuda, które wypełnią nasz dom fantastycznym, jedynym w swoim rodzaju, niebywałym aromatem nieba z najdalszych, zamorskich krain, gdzie rosły w ziemi jak my, lecz ich woń o niebo przewyższa to, czym my oddychamy, czym wypełniamy przestrzeń naszego małego świata...”

Pewnego dnia, wracając z pracy, postanowił wstąpić do drogerii, w której wcześniej kupował swoje ukochane kadzidelka, lecz jakie było jego zdumienie i rozczerowanie, gdy na drzwiach sklepu zastał jedynie bezduszną kartkę z okrutną informacją: REMANENT.

- Co tu się wyprawia?! To jakieś kpiny?!

Szybko pomyślał, co w tej sytuacji należy zrobić, jak się ratować, skąd zdobyć to, czego poszukiwał i na czym mu tak bardzo w owej chwili zależało.

Musiał je kupić, bez względu na cokolwiek!

W międzyczasie, z biegiem dni, wytworzył się między nimi wyraźny, zażyły związek – wśród leniwie snującego się po mieszkaniu dymku mógł marzyć o innych światach, innych krainach, gdzie szarżyznę życia zastępuje błękit oceanu i tysiące odcieni zieleni, co pieszczą wygłodniałe piękna oko rozłożystymi liśćmi palm i popielatym piaskiem bezkresnych plaż, muskanych czułymi falami, wśród których przedziwne, fantastyczne ptaki uganiają się za drobnicą, wygrzewając się w słońcu na płycznach.

Jakby wessane z przestrzeni mieszkania, drzemały w nim i budziły się, co wieczór coraz to nowe marzenia, coraz to piękniejsze, cudowniejsze obrazy, nieznanych lądów, nieznanych dziewiczych archipelagów i wysp szczęśliwych.

- I podobno jestem taki przeciętny, taki nudny i nieciekawy. A skąd to wszystko widzę oczyma duszy? Jak to pojąć i odnieść potem do osobnika tak pospolitego i nieprzyzwoicie zwyczajnego w całej swej nijakości? Tak pokracznego w swej nieatrakcyjności?

Czy ktoś taki widziałby to wszystko, co ja widzę każdego wieczora w mym domu? Miałby tak piękne marzenia i wiarę, że może któregoś dnia.

Jaki człowiek, takie pragnienia.

Gdy nadeszła sobota ruszył na miejskie bazyry i gwarne targowiska z nadzieją, iż tam znajdzie kogoś, kto będzie miał do sprzedania jego orientalne zapachy, jego ukochane dymki.

Jego kadzidelka. Jego zapachy przedziwne.

Przeciskając się przez gęsty tłum kupujących i zwykłych gapiów rozglądał się uważnie i ze skupieniem, co graniczyło z oczekiwaniem na koniec świata lub jego początek, czy może przypadkiem, gdzieś obok, gdzieś całkiem niedaleko, w zasięgu wzroku, leżą one i czekają...

Trzeba było konsekwentnie szukać i mieć oczy dookoła głowy – wszak, kto szuka, ten znajdzie!

Wtem spostrzegł smagłego Azjatę, który za pomocą rąk i słów należących do wielu języków tego świata, tłumaczył coś pewnej kobiecie, chcącej zapewne nabyć coś od niego.

Potrzeszcz już wiedział – wzrok wszak mu nie szwankował – wiedział już wszystko.

Na ziemi, obok nierozgarniętego handlarza, leżały przeróżne, kolorowo zapakowane kadzidelka. Leżały i

czekały. Było ich tak wiele, że w głowie się mieszało. Nikt jakoś nie kwapił się, by je kupować. Czyżby nikt nie znał ich niepowtarzalnego, nieziemskiego aromatu, co zdolny jest przenosić człowieka do pięknych krain, pełnych marzeń i rajskich obrazów? Ludzie są prości. Jakże boleśnie prości.

Kiedy on stał i patrzył na te cudowne, zakłete w patyk i niewielką warstwę jasnej skorupy, wonie niebios, obok kupowano mięso, nad którym zawzięcie krążyły muchy, odganiane starą, zatłuszczoną gazetą, i mierzono ohydne, okrutnie wykonane ręką nieokrzesanego Chińczyka, buciory, w których można było ruszyć natychmiast do samego piekła.

Lecz diament, wydobyty nawet z błotnistej gleby, wciąż pozostaje przejrzysty!

- Daj to wszystko! – nakazał Potrzeszcz twardo Azjacie.

- Ty to kupić, co do jeden? – zapytał zaskoczony handlarz.

- Głuchy? Dawaj wszystko, bo się rozmyślę!

- Okay, okay! Lubić to, co? Dobry towar, ja to mówić, ja wiedzieć, co mówić, kiedy mówić z klient!

Klient chce kupować, to ja wiedzieć, co mówić. U mnie gwarancja na towar!

Bardzo proszę i życzyć miłego wdechu!

- Masz – pieniądze nie grały roli, i tak zapłacił więcej niż się należało.

- Thank you, gracias i dziękuję i miły dzień życzyć i dla matka i ojciec i syn i córka.

- Cicho siedź, żółty pajacu! Jeszcze tu przyjdę. Miej to zawsze dla mnie, jasne? Ja kupię wszystko, będziesz pamiętać? – rzekł Potrzeszcz.

- Of course, senior – uśmiechnął się Azjata, szczerząc swe bezzębne dziąsła.

- To na razie! – powiedziawszy to, szybko opuścił obleśny, hałaśliwy bazar.

Gdy dotarł do domu, natychmiast zapalił kadzidelko.

Na opakowaniu napisano, że to drzewo sandałowe – zapach piękny i niepowtarzalny.

Inne też były mu znane. Większość miał już przyjemność wdychać i docenić.

Szybko policzył, że starczy mu ich na dobre cztery, a może nawet pięć tygodni.

To kawał czasu, to kawał palenia. Znów wachał wieczorami. Znów przenosił się nad brzeg oceanu. Marzenia wypełniały umysł i duszę.

Często wstawał ze swego fotela i gładził kwiaty i drzewka, co zdawały się w milczeniu podzielać jego pasję, dotykane sunącym w powietrzu jasnym, wonnym dymkiem.

Było mu dobrze, naprawdę dobrze.

4

Tymczasem minął tydzień, zaczął się kolejny.

Pewnego dnia rano, zakładając spodnie, nagle zauważył, że stały się jakby luźniejsze w pasie i znacznie szersze w nogawkach. Dotąd ledwie się w nie mieścił. Jak to wytłumaczyć? Czyżby w ostatnim czasie schudł? Przecież nie stosował żadnej diety, nie żałował sobie jedzenia? Wręcz przeciwnie – zawsze lubił dogadzać swemu podniebieniu i zdarzało mu się nawet jadać dwie kolacje w odstępie niecałej godziny.

- Co z panem, panie Potrzeszcz? – zapytał któregoś dnia przełożony widząc nietęgi wygląd swego zdrowego i niezawodnego dotąd pracownika.

- Nic, a co ma być?

- Coś pan chyba schudł nam tutaj na dniach! Pości pan czy co? Zmartwienia jakieś?

- Jem jak zawsze, ile wejdzie. Nie mam ambicji, by wyglądać jak Adonis.

- No i pan nie wygląda...

- Nie dbam o to.

- Widzę.

- Czuję się świetnie.

- Był tu kiedyś taki jeden, nazywał się Ewaryst Kadłub, księgowy, poczciwy chłopina, niestary i niem-

łody – wiek nieokreślony. Nie pił, nie palił, z głową wszystko miał w porządku. Zdrow był jak świąteczny karp lub jak wszystkie świąteczne karpie razem wzięte. Aż przykro mówić, aż przykro wspominać... Na samą myśl jakieś ciarki po plecach latają jak stado mrówek! Pamiętam go jakby to było wczoraj. Takich rzeczy się nie zapomina. Też tak jakoś chudło mu się dość szybko, z dnia na dzień, i co się okazało? Domyśla się pan, panie Potrzeszcz?

- Niezbyt.

- Dziś robi za anioła...

- Mnie nie spieszno na tamten świat, ja mam pełną lodówkę jedzenia.

- I co z tego, skoro go pan nie konsumuje?

- Robię to. Codziennie, wiele razy.

- Oj, nie bardzo w to wierzę, nie bardzo - rzekł szef i poszedł sobie w nieznanym kierunku.

Dobre oko nie myli się nigdy.

Jedno małe spojrzenie i już wiadomo!

Tajemnica nie istnieje.

Jednak coś działo się z ciałem, które dotychczas nie wykazywało żadnych oznak choroby...

Działo się i to w zawrotnym tempie...

Dzień i noc...

Gdy każdego ranka Potrzeszcz wchodził na małą wagę łazienkową, okazywało się, że jest coraz lżejszy, że gwałtownie chudnie w oczach, choć niczego sobie w ostatnich czasach nie odmawiał i zjadał te same ilości pożywienia, co dotąd – łapczywie i bez wydzielenia sobie.

Nie zmienił swych zwyczajów żywieniowych, nadal jadł tłusto i ciężko.

Jadł, co chciał i kiedy chciał. Miał apetyt i lubił go zaspokajać tym lub owym przysmakiem, zwłaszcza w chwilach, kiedy w mieszkaniu unosiły się wonne aromaty magicznych kadzidełek. Nastrajało go to nagle do zjedzenia kawałka pasztetu z indyka lub kilku plasterków boczków, przy których lepiej mu się kontemplanowało egzotyczne oceany i szum cichych fal. Jedzenie w połączeniu z czarownymi zapachami było dla niego najwyższą przyjemnością, którą się sycił do woli w domowym zaciszu.

Jednak z dnia na dzień było go coraz mniej...

Jakiś czas temu ważył ponad osiemdziesiąt kilo, by za tydzień jego waga spadła raptownie do zaledwie... sześćdziesięciu dwóch kilogramów! Tyle ważył, gdy uczęszczał do szkoły podstawowej! Gdzie podziały się te wszystkie kilogramy? Ciało nie jest gazem i nie może ulotnić się w trakcie snu. Takie rzeczy nie dzieją się i nie można rozważać podobnej hipotezy na poważnie. Co zatem stało za tą nagłą i niepokojącą zmianą, co podstępnie stała się faktem?

Przecież czuł się dobrze, nic mu nie dolegało, nic nie alarmowało nagłym bólem w środku nocy, co mógł być wyraźnym sygnałem toczących się procesów chorobowych.

Pozornie wszystko było jak dotąd, po staremu.

Bezboleśnie zwyczajnie, bezobjawowo normalnie.

Coś jednak działo się...

- Panie Potrzeszcz – rzekł pewnego poranka szef. – przez wzgląd na pana pozycję i zasługi dla firmy, nie mówiąc już o moim prywatnym zaniepokojeniu, wysyłam pana na miesięczny urlop. Panu coś jest, wystarczy na pana spojrzeć. Musi pan iść do lekarza. Na badania, może na obserwację... Z pana zdrowiem dzieje się coś niedobrego... Pan jest taki chudy...

Przecież jeszcze niedawno wyglądał pan jak my wszyscy. To trzeba koniecznie zbadać!

Niech pan tego nie lekceważy i natychmiast podejmie w tej kwestii zasadnicze kroki.

- Podejmę.

Siedząc wieczorem w fotelu, przy swych kadzidelkach, myślał nad zagadkowym problemem.

Rzecz wydawała mu się cokolwiek dziwna. Niewytłumaczalna i drażniąca swą absurdalną konsekwencją.

Im dłużej o niej rozmyślał, tym dalej był od jakichkolwiek wniosków i odkryć...

Przerażała go także perspektywa spędzenia miesiąca w domu bez pracy – jak to wytrzymać, jak zabić tak ogromną ilość wolnego czasu, jakich zajęć się imać, by nie gnuśnieć w nudzie?

Zajął się swym „ogrodem” i każdym z jego mieszkańców z osobna – wytarł z kurzu każdy liść, spulchnił ziemię lub wymienił jej część, umieścił w doniczkach specjalne odżywki...

Nie zajęło mu jednak zbyt wiele czasu.

Po kilku dniach nie miał już zajęcia i...kolejnych kilku kilogramów.

Skala wagi coraz bardziej odchyłała się w lewo, napawając go coraz większym niepokojem.

Powoli zaczynał popadać w panikę. Ta zagadka zaczynała ciążyć mu nie na żarty.

Czuł, że choć nic go nie boli, nic nie rzuca się w oczy jaskrawym i dramatycznym objawem, trawi go bez wątpienia jakaś nieznama, podstępna choroba, której jedynym uchwytym symptomem jest postępująca utrata wagi.

Gdy panika przerodziła się w przerażenie, wraz z szokującym odkryciem, iż waży już mniej niż pięćdziesiąt kilogramów, wybrał się z obłądną grozą w oczach do swego lekarza.

Ten zlecił serię rutynowych badań i po uważnym zbadaniu pacjenta poważnie się zamyślił.

Po chwili rzekł:

- To naprawdę dziwne. Na dzień dzisiejszy nie mogę nic panu powiedzieć – po prostu nie wiem. Nigdy z czymś takim się nie zetknąłem... Ma pan normalne tętno, serce pracuje jak należy, w płucach szmerów nie stwierdzam, więc co? Cóż to za podejrzana choroba? Skoro odżywia się pan prawidłowo... Skóra nieco wiotka i blada, ale to wynik wychudzenia...

Tak... Jak zobaczymy pańskie badania, wtedy się wyjaśni. Bądźmy dobrej myśli...

Gdy po kilku dniach dalszego chudnięcia Potrzeszcz wrócił do swego lekarza i wręczył mu swe wyniki, ten zbladł jak ściana i na czoło wystąpił mu gęsty pot...

Długo przyglądał się analizom i zdjęciu rentgenowskiemu. Widać było po nim głęboką konsternację i narastający z minuty na minutę niepokój.

W końcu z trudem, dziwnie gardłowym głosem, odezwał się:

- Jestem lekarzem od prawie trzydziestu lat, widziałem w życiu wiele niezrozumiałych i niewytłumaczalnych prawami nauki i biologii rzeczy, po których przeciętny człowiek nie zasnąłby przez kilka dni, ale z czymś podobnym nie zetknąłem się jeszcze nigdy...

Powiem wprost – organizm pana uległ jakiejś szczególnej i niepojętej redukcji, jakiejś przerażającej atrofii, której nie mogę nijak pojąć. Trudno uchwycić tu jakikolwiek proces zwyrodnieniowy lub chorobowy. Nie mogą to być zmiany starcze, nie wywołało ich też patologiczne niedożywienie. Przecież panu nic nie dolega, na nic się pan nie uskarża...A jednak pana kości, stawy i tkanki wewnętrzne, całe ich kolonie i grupy, miliony komórek, najzwyczajniej znikły! Widać to na zdjęciu, widać to w pańskich badaniach! To wbrew wszelkiej logice. Wygląda na to, że pan po prostu... stopniowo zanika. Trudno mi to sobie wyobrazić. Trudno mi wyobrazić sobie także przedziwny dla mnie fakt, że pan nadal żyje!

Brak tu bodaj cienia racjonalnego wytłumaczenia, to tak, jakby człowiek mógł sobie beztrąsko funkcjonować bez powietrza, wody i pokarmu, a w jego żyłach zamiast krwi, była pustka... Jak u pana... Z tych badań wynika, że znikła gdzieś także większość pana krwi...

Musi pan położyć się do szpitala, niech szukają dalej przyczyny. Nie możemy tak tego zostawić. To zbyt poważnie wygląda. Już piszę panu skierowanie.

- Nie lubię szpitali – rzekł ponuro Potrzeszcz.

- To konieczne w tym wypadku, bezdyskusyjne – odparł twardo lekarz. – Tam na pewno dojdą, o co w tym wszystkim chodzi... A swoją drogą, czy nie zmieniło się nic ostatnio w pana życiu, co można by nazwać nagłą przemianą lub pojawieniem się czegoś z gruntu nowego? Jakieś małe trzęsienie ziemi, jakieś wzloty lub przykre upadki? Czasem przyczyny należy dopatrywać się w sferze psychicznej...
- Nie pamiętam niczego. Zupełnie niczego, no może z wyjątkiem... - tu szybko urwał jakby lekko zaniepokojony.
- Z wyjątkiem czego? – spytał zaintrygowany lekarz.
- Zacząłem palić kadzidełka...
- Kadzidełka?! A co to takiego? Nigdy nie słyszałem.
- Takie patyczki zapachowe z Dalekiego Wschodu...
- Ach, to o tym mowa! Już wiem, już kojarzę. Tylko obawiam się, że to zbyt błahe wydarzenie... Nie przybliży nas to do poznania prawdy.
- Kilka tygodni temu kupiłem je od jakiegoś Azjaty, na targowisku... Poprzednio zaopatrywałem się w sklepie, ale tam jest teraz zamknięte. Właściwie od chwili, kiedy...raczej chyba na pewno od chwili, kiedy kupiłem tamte kadzidełka od tego Żółtka, zacząłem chudnąć.
- Jest pan tego pewien? – zapytał poważnie poruszony lekarz.
- Na to wygląda. Wcześniej nic się ze mną nie działo. Ważyłem zawsze tyle samo.
- To ciekawe. Doprawdy, arcyciekawe...
- Niedawno mi się skończyły. Już ich nie palę trzeci dzień. Będzie jakiś miesiąc, jak miałem je w domu, może trochę więcej. I wtedy to się zaczęło – co rano budziłem się coraz chudszy i chudszy... I teraz, chociaż ich nie palę, nadal ubywa mi wagi.
- To brzmi dość złowieszczo i nie zawaham się tego powiedzieć, przerażająco... Może jest w tym coś, może jakieś ziarenko prawdy... - westchnął lekarz.
- Jest, panie doktorze...
- Hm, kto wie.
- Podejrzewam, że...
- Że?
- Tam coś mogło być nie tak z ich składem, ze składem tego dymu, choć pachniał pięknie... - rzekł pośpiesznie Potrzeszcz. – Może czegoś tam dosypali?
- Powiada pan?
- Coś mi mówi, że to tak było...
- Nie brzmi to do końca niedorzecznie - może trafiła się panu jakaś zła partia, trefny towar. Lecz żeby aż tak wejść w reakcję z organizmem? Niepojęte! Powiadam panu, niepojęte! Natychmiast niech pan się kładzie do szpitala, póki nie będzie za późno. To nadal działa, nadal pan chudnie, chociaż już pan ich nie pali. Może te nieznanne substancje pochodzące z dymu weszły w pana ciało i to właśnie one sięją tam takie spustoszenie? Do szpitala, natychmiast, niech pan nie zwleka! I niech pan tego paskudztwa nigdy już nie pali!

Może rzeczywiście było to jakieś ziele z piekła rodem?

5

Potrzeszcz nigdy nie trafił do szpitala, nigdy nie chciał tam trafić.

Nie lubił ich i bał się jak małe dziecko – kojarzyły mu się jedynie z bólem i brzydkim zapachem, unoszącym się mdłymi powiewami w dusznym, zatęchłym powietrzu...

Postanowił przeczekać. Może pomyślał sobie, że tajemnicza przemiana sama się cofnie?

Czas ponoć potrafi zdziałać cuda. Już nie palił kadzidełek. Zamiast tego jadł coraz więcej, coraz cięższych i tłustszych potraw, aby przybrać znów na wadze.

Efekt był żaden.

Przestał się wtedy ważyć.

Nie chciał dłużej patrzeć na bezlitosną wskazówkę.

Kiedy pewnego poranka przypomniał sobie, że kończy mu się właśnie urlop, postanowił zadzwonić do szefa i powiedzieć mu całą prawdę, poprosić o jeszcze jeden miesiąc wolnego.

Wciąż wierzył, że to minie i w konsekwencji odzyska znów stary wygląd...

Wstał z łóżka i podszedł do telefonu.

Poczuł dziwną lekkość, jakiej jeszcze dzień wcześniej nie odczuwał. Poprzedniego wieczora jej nie było. Nie czuł oporu podłogi, nie czuł zupełnie nic pod swymi stopami. Zastanowiło go to poważnie.

- Cóż to? – mruknął do siebie zaskoczony. – Czyżbym aż tak schudł przez noc, że nie wywieram wy-czuwalnego nacisku na podłogę?

Stał na moment przy telefonie i popatrzył na siebie – żadnych zmian, wszystko jak wczoraj, nic szcze-gólnego nie zaszło w międzyczasie.

- Zdawało mi się...

I kiedy chciał chwycić za słuchawkę, nastąpiła rzecz niesamowita i niewytłumaczalna – JEGO RĘKA PRZESZŁA PRZEZ NIĄ JAKBY BYŁA MGŁĄ LUB BEZCIELESNYM CIENIEM.

Po chwili spróbował raz jeszcze wziąć słuchawkę – sytuacja powtórzyła się...

Plastikowy przedmiot nawet nie drgnął. Nadal spoczywał w tej samej pozycji, nieruchomo.

Przerażony zaczął biegać po mieszkaniu, odczuwając przedziwne uczucie, jakby płynął w powietrzu, i dotykać w oszołomieniu ścian, mebli, kwiatów – niestety jego dłoń ani razu nie natrafiła na żaden, najm-niejszy bodaj opór...

- Co się ze mną stało? – zawołał zdjęty grozą bez granic.

Przechodził jak cień przez swoje rośliny, nawet nie poruszywszy jednego listka.

Podszedł do okna i wyciągniętą ręką... przeniknął przez szybę.

Położył dłoń na blacie stołu i patrzył jak przechodzi na wylot, nie czując żadnej przeszkody...

- Przecież nie umarłem...

Widział wszystko dookoła, tak jak to pozostawił poprzedniego wieczora, co najdziwniejsze, widział też siebie w ubraniu, które dzień wcześniej miał na sobie – czarne spodnie i szary sweter. Zastanawiała pew-na rzecz. Czyżby w nim spał? Przecież zaraz po przebudzeniu miał je już na sobie. Podejrzone. Dziwne...

- Kiedy to założyłem?

Odpowiedziała pustka, co zastąpiła wszystkie jego myśli.

Wtedy postanowił przekonać się, jak jest naprawdę – wyjść na ulicę i zaczepić pierwszego lepszego prze-chodnia, by przekonać się, że to nie może być prawda. Ktoś za moment z pewnością rozwieje jego wątpliwości i paraliżującą przytłaczającym lękiem, niepewność.

Ktoś powie mu to, co koniecznie zapragnął w tej strasznej chwili usłyszeć. Nie może przecież być ina-czej, nie może. Lecz, kiedy bez najmniejszego oporu przeniknął przez zamknięte drzwi, zrozumiał, że jest gorzej niż zakładał.

Przypomniał sobie nagle słowa lekarza.

Teraz nabrały one nowego, koszmarnego znaczenia.

Stojąc po drugiej stronie swych drzwi pojął, że go nie ma, choć dalej żyje innym, niepoznanym dotąd życiem.

Nie umarł.

Nie odszedł tam, gdzie odchodzą zmarli.  
Po prostu zniknął...

7 lutego 2009

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

mike17, dodano 21.03.2012 10:31

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).